Lustra i krzesło

Kolejowe tryby, które Stefanek smarował, odkąd wygrał przetarg na wynajem restauracji, albo przestały istnieć, albo zaczęły zgrzytać właśnie teraz, kiedy przyszła pora odnowić zezwolenie. Najemca nie był jednak zaniepokojony. Miał pieniądze na kolejny przetarg, restauracja chodziła jak w zegarku, a kieszenie panów urzędników w Zarządzie Kolei pozostały te same, nawet jeżeli zmieniali się ich właściciele. Pewnego dnia pojechał więc do Konstancy, żeby zorientować się, kto oprócz niego będzie jeszcze stawał do przetargu. W biurze pana Cirezeanu, człowieka o wąskim uśmiechu i szerokiej kieszeni, pojawił się pewien młody biuralista, który, schowawszy pełną brązowawą kopertę, położoną przez Stefanka na biurku, powiedział, że nie będzie już żadnego przetargu, gdyż przygotowuje się inne kroki. „A jakie miałyby być te kroki?". Młodzieniec odparł, że zależne od sytuacji i że od tej pory nie tylko kolej, ale również ludzie z miasta będą mieli decydujące słowo w tej kwestii. Stefanek nie bardzo rozumiał, o co chodziło z tym decydującym słowem w jego interesach z koleją, ale jako człowiek pełen respektu wobec polityków jeszcze przed wyborami wszystkich po kolei obdarował i odpowiednio ugościł. Wrócił do domu zadowolony, że i tym razem kości i bączki trzymane w kieszeni i skorygowane żywym srebrem przyniosły mu szczęście. Czuł jednak, że anulowanie przetargu nie pachnie zbyt dobrze, nawet jeżeli w wyniku tej decyzji pozostała mu taczka niewykorzystanych pieniędzy. Brakowało mu Jana, którego radził się nocą przy kieliszku. Do szewskiej pasji doprowadzały go wieszcze zapędy Virginii, która przed zaśnięciem rozkładała i tasowała karty na kołdrze, mrucząc pod nosem: „Dwadzieścia i cztery karty, dwudziestu i czterech braci, prawdę mi powiedzcie i nie krzyżujcie się, swaci…".

Gdzieś po miesiącu, gdy Stefanek przygotowywał się do wyjazdu po wino i cujkę, w restauracji zjawił się Mînjină z uprzejmym ultimatum: „Za piętnaście dni, licząc od dziś, przyjdzie tu ktoś i oddasz mu restaurację". Słysząc te słowa, Stefanek poradził rymarzowi, aby pilnował swoich interesów i swojej partii, gdyż on posiada zezwolenie od Zarządu Kolei. W odpowiedzi Mînjină stwierdził, że zezwolenie straciło ważność i ze swej strony poradził mu, żeby nie zadzierał z władzą ludową. Kilka dni później komornik miejski przyniósł do domu restauratora nakaz od tejże ludowej władzy. Skrępowany zawiadowca wręczył mu podobny papier wydany przez kolejowych urzędników. Stefanek przeczytał dokument i odpowiedział kumowi Tudorkowi: „Skoro nawet kolej słucha rozkazów Mikołaja Brudasa, to poddajemy się, trudno!". Potem zaprosił zawiadowcę na kieliszeczek rumu. Restauracja należała do niego jeszcze przez osiem dni, więc nie widział powodu, żeby już teraz się smucić. Później będzie mógł to robić przez cały czas. Zawiadowca nie miał ochoty na rum, poprosił o szprycera z wermutu. Pod nim też ktoś już zaczął ryć. Oczekiwał kontroli, takiej samej, jaka przytrafiła się już panu zawiadowcy Călugăreanu z Feteşti. Od jakiegoś czasu nowy dyżurny ruchu, ten sam, z którym świętej pamięci kelner Jan założył się o zjedzenie pięćdziesięciu ostrych papryczek, traktował go jak powietrze. Stefanek wypił swój rum i poszedł do baru wziąć jeszcze jeden, ale szef sali oświadczył, że straci swój napiwek, jeżeli sam nie przyniesie tego zamówienia! Knajpiarz podziękował, próbując nie dać do zrozumienia, że poczuł się trochę dotknięty. „Ten chłopak idzie w ślady Januszka" – rzucił do zawiadowcy Tudorka i zaproponował, żeby wspólnie zjedli jakąś zakąskę, skoro już siedzą przy tym stole. Zawiadowca zgodził się pod warunkiem, że to on przynajmniej ten jeden raz zapłaci za *konsumpcję*. Stefankowi nie bardzo było w smak takie rozwiązanie: przecież do kuma jeszcze nie przyszła kontrola ani też on nie zawiesił kłódki na drzwiach restauracji. Miał ochotę pogadać z zawiadowcą. Mieszkał w tej Medgidii od siedmiu lat. Poradził sobie z legio-

nistami Steliana, gdziekolwiek on teraz był! Ale żeby taki typ jak Brudas z całą tą swoją władzą ludową zabierali mu interes? Tak samo, jak ludzie wykopali zielone koszule, dadzą radę rymarzowi. Zawiadowca nie wierzył, że stanie się to prędko. Za plecami Mikołaja Mînjiny stali Ruscy, którzy wpakowali swoich błaznów na kolej i wszędzie indziej. Tutaj Stefanek musiał się poddać i przyznać mu rację. Ale ile jeszcze będą siedzieć tu ci Ruscy w czasie pokoju? Zdaniem zawiadowcy dopiero zaczęli się tu dobrze czuć. Stefanek nie chciał wierzyć. Przecież oni też tęsknili za domem, chociaż nie przyznawali się do tego z własnej woli.

Siódmego dnia Stefanek wydał przyjęcie pożegnalne w restauracji i na peronie, z darmowym jedzeniem i piciem bez ograniczeń. Nie ogłaszał tego w żaden sposób, ale ludzie przyszli jak na miejsce jakiegoś religijnego cudu. Niektórzy, na przykład zawiadowca, zapłacili za siebie, bo przecież nie zjawili się w restauracji pana Theodorescu po darmochę. Stefanek przyjął pieniądze na szczęście. Po północy w restauracji rozpoczęła się zabawa kelnerów, kucharek i chłopaków peronowych, tak huczna, jak gdyby dopiero teraz interes zaczynał się rozwijać. Zanim wszystko rozkręciło się na dobre, Stefanek osobiście poczęstował każdego ulubionym szampanem Januszka, człowieka, który nadał blask lokalowi i który, być może, wycofał się w odpowiednim czasie. Szef restauracji wypił swój szampan i rozbił kieliszek o podłogę. Podobnie zrobili pozostali. Pomocnicy zjawili się natychmiast z miotłami, ale Stefanek powiedział, żeby zostawili w spokoju odłamki potłuczonego pecha. Virginice ciężko było uwierzyć, że rozstaje się ze swoim lokalem. Śmiała się jednak, rozweselona łyczkami rumu, wypijanymi z grymasem na twarzy. Stefanek poprosił zebranych o chwilę uwagi: kto znalazł pracę w innym miejscu, niech tam idzie. Kto nie – niech zostanie w restauracji, chociaż on stracił zezwolenie. Na razie nie otworzy w mieście innego lokalu.

O trzeciej w nocy zaczęli wynosić rzeczy – garnki na zupę, rondle i patelnie powędrowały do domu Stefanka z kucharka-

mi, skrzynie z syfonami, talerze i szklanki pojechały z kelnerami, a stoły i krzesła z pomocnikami. O świcie w restauracji pozostały jedynie lustra na ścianach i puste beczki w piwnicy. Virginia zmiotła odłamki z podłogi. Punkt ósma pojawił się przedstawiciel władzy ludowej, a nieco z tyłu za nim handlarz makagigą Sandu, sprzedający słodycze w budce niedaleko starej szkoły. Stefanek czekał na nich, siedząc na jedynym krześle, jakie pozostało w lokalu. Mînjină mało nie padł trupem: „Gdzie jest wyposażenie restauracji, panie Theodorescu?". Stefanek wyciągnął protokół podpisany z koleją w roku czterdziestym, kiedy wygrał przetarg. Otrzymał wtedy dwa puste pomieszczenia, w których teraz od siebie zostawia lustra na ścianach, żyrandole pod sufitem, beczki w piwnicy i krzesło, na którym siedzi. „A co ze stołami i resztą krzeseł?" – zapytał Mînjină. „To sprawa przyszłego restauratora" – odparł Stefanek. Władza ludowa nie była jednak tego samego zdania. „Pan Sandu to człowiek zaufany, mający jednak chwilowo mniejsze możliwości". Stefanek wstał z krzesła. On włożył wszystko, co miał, w tę restaurację, a lustra ze ścian warte były tyle, ile trzy sklepiki handlarza makagigą. Ale na stoły i krzesła wystarczyłyby już pieniądze, jakie pan Sandu wziąłby za swoją budę, gdyby znalazł kupca. Jednak na syfony, zastawę i szklanki pan Sandu musi się nieco zapożyczyć. Stefanek przeprosił, że nie może już zaoferować nic do picia, i dość pewnym krokiem wyszedł na peron, przekonany, że niebawem wróci do swoich dwóch pomieszczeń z lustrami, aby znów zrobić z nich restaurację.